



Historie z Zielonego Domku

Historia 2(3) /2025

Biuletyn Bieszczadzkiego Ośrodka Historii Turystyki Górskiej



Bieszczadzkie początki powojennej turystyki we wspomnieniach Jana Ciećkiewicza 1953/55 - 2025



Początki powojennej turystyki w Bieszczadach, pomimo nie tak odległego czasu nadal są mało znane. Przeważają prywatne historie często zapiski i wspomnienia, które przez lata spoczywają w zakamarkach biur i mieszkań.

Jednym z takich materiałów są wspomnienia z pionierskich wycieczek odbytych praktycznie w pierwszych latach dostępności najwyższych partii Bieszczadów Zachodnich.

Poniżej przedstawiono materiał z dwóch wycieczek odbytych w latach 1953 i 1955 przez grupę turystów z Krakowa, a utrwalonych przez jej uczestnika Jana Ciećkiewicza. Na końcu całość uzupełnia glossa autorstwa Jerzego Mikulskiego Pomorskiego.

Treść ilustrują oryginalne zdjęcia autora, a także inne materiały datowane na lata 50. XX w. M.in. są to zdjęcia wykonane kilka dni później, w czasie wycieczki sierpniowej tzw. „Grupy Mieczysława Orłowicza”. Zbigniew Affanasowicz wędrował pod przewodnictwem Tadeusza Dohnalika w dniach 17 – 22 sierpnia 1953 r. od Ustrzyk Dolnych przez Lutowiska, Ustrzyki Górne po Cisną. Drugą z wycieczek ilustrują jedynie mapy, gdyż wędrujący nie posiadali aparatu fotograficznego. Wykorzystano mapy z drugiej połowy lat 50. XX w., które wtedy dopiero powstawały i jeszcze przez długie lata nie były dostępne ze względu na ich wojskowe przeznaczenie. Jednak to przeznaczenie sprawiło właśnie, że były bardzo dobrze opracowane i obecnie stanowią cenne źródło informacji.



Odoczynek w Woli Sokółowej. Fot. Zb. Affanasowicz, sierpień 1953 r.

Materiał powstał wiele lat po tych wycieczkach i jest próbą udokumentowania tamtych realiów górskich wędrówek z perspektywy zmian jakie zaszły w Bieszczadach. Jak sam autor wspomina:

Okazało się, że tylko ja pamiętam Bieszczady naprawdę dzikie, a oni, mieszkańcy tej ziemi tego z zainteresowaniem słuchają, może niektórzy trochę niedowierzając. I może dlatego postanowiłem moje wspomnienia spisać.

To refleksja gdzieś sprzed 30-tu już lat i dziś można śmiało powtórzyć, że Bieszczady w latach 90. też były zupełnie inne niż te współczesne. Tym bardziej w 70 rocznicę wycieczki z roku 1955 r. zaprezentowano ten materiał jako ważny przyczynek do historii turystyki górskiej w Bieszczadach Zachodnich, a jednocześnie uzupełnienie i kontynuację tradycji turystycznych jedyne fragmentu Karpat Wschodnich jakie są w Polskich górach.

Bieszczady

Jak je zapamiętałem

Po zakończeniu II wojny światowej tereny Polski nie były od razu spokojne. W etnicznie polskich terenach działała znaczna ilość oddziałów partyzanckich podziemia antykomunistycznego, wywodzących się z Armii Krajowej (AK) i Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ). Na Dolnym Śląsku działała partyzantka niemiecka, tzw. Werwolf, z którym z trudem walczone, bowiem był zorganizowany na wzór AK, mając przy tym nagromadzone znaczne ilości sprzętu wojskowego i oparcie w rdzennej ludności niemieckiej. Na południowowschodnich terenach operowała ciesząca się również przychylnością miejscowej ludności Ukraińska Powstańcza Armia (UPA), stopniowo spychana w górskie i lesiste rejony Bieszczadów. Tam właśnie toczyły się najbardziej zacięte walki. Przesiedlanie Niemców z tzw. ziem odzyskanych podcięło zaplecze zorganizowanej partyzantki niemieckiej - Werwolfu, a zorganizowaną dla jego zwalczania konną grupę manewrową Wojsk Ochrony Pogranicza (WOP), które stworzono z II Armii Wojska Polskiego, przeniesiono w Bieszczady do Walki z UPA, gdzie już walczyły bezskutecznie oddziały wojskowe zorganizowane przeważnie z przybyłych do Polski komunistów z Francji. Doświadczenia z zachodu postanowiono wykorzystać w walce z UPA organizując także i na wschodzie masowe przesiedlenia pod nazwą akcji Wisła. Zamieszkujących Bieszczady Bojków w 1946 i 1947 roku wysiedlono, a ich wsie spalono. Pola przez lata leżały odłogiem. Ścieżki leśne zarastały, pojawiała się samosiejka. Jedyna droga prowadziła przez Lesko i Baligród, bo Ustrzyki Dolne były po stronie radzieckiej. Dopiero odkąd po częściowej zmianie granic w zamian za Uchnów, gdzie odkryto węgiel lub gaz, ZSRR oddał Ustrzyki Dolne, otworzyła się dodatkowa droga dojazdu i zaczęto pozwalać na chodzenie w Bieszczady turystom.



Pierwszy przeszedł przez te wyludnione okolice w 1950 roku Władysław Krygowski posługując się przedwojennymi mapami 1:100000. W 1953 r. pożyczył je mojemu Ojcu¹. Znali się z ojcem z PTT (Polskie Towarzystwo Tatrzańskie) i zaprzyjaźnili się. Odwiedzaliśmy się w domach. Był adwokatem, a mój Tato biegłym sądowym, więc mieli wspólne tematy. Wtedy wyruszyliśmy tam i my razem z moim szwagrem Jankiem Godzickim²

Marian Ciećkiewicz jako oficer sanitarny w 1920 r.

¹ Mój Ojciec **Marian Ciećkiewicz** (1893 – 1999 r.) lekarz, Legionista, uczestnik walk o niepodległość Polski, żołnierz kampanii wrześniowej, był członkiem PTT od lat przedwojennych. Podczas pierwszej wojny światowej był w armii austriackiej w brygadzie górskiej i z nią wędrował przez Czarnogórę, Alpy Transylwańskie i Dolomity. Przed wojną (ostatnią) chodzili z Matką dość dużo po Tatrach i Beskidach, a po wojnie wycieczki niedzielne i urlopowe stały się sposobem na życie. Po osiągnięciu dużej złotej GOT został jej przodownikiem, ale jego działalność nie była nigdzie dokumentowana. W sześćdziesiątym siódmym roku życia chodziliśmy jeszcze sprawnie po Tatrach Słowackich, a na łatwiejsze wycieczki chadzał do osiemdziesiątego roku życia. Ojciec przed wojną po Beskidach Wschodnich chodził mało.

² **Jan Godzicki** (1920 – 1997 r.) był moim szwagrem. Od dziecka bardzo obchodzony po górach. Po podchorążówce strzelców podhalańskich przed wojną świetnie orientujący się w terenie. Po wojnie pracował w PTTK pilnując remontów schronisk.

i Jurkiem Mikułowskim Pomorskim³, z którym dzieliłem ławkę szkolną. Obaj mieliśmy po 16 lat i byliśmy rok przed maturą. Zostaliśmy zachęceni opowiadaniem Krygowskiego o jego samotnym rajdzie, który zresztą pięknie opisał w „Górach mojego życia” bodajże⁴. Formalnego kierownictwa nie było, ale Tato jako najstarszy miał najwięcej do powiedzenia na wyprawie.

Zaczął się od przygotowań, bo od Pana Krygowskiego dowiedzieliśmy się, że nie ma tam praktycznie nic. Trudno było w to uwierzyć, bo na mapach widniały ludne wsie. Te okolice były uważane przed wojną za przeludnione. Zgromadziliśmy zatem odpowiednie zapasy konserw oraz innych produktów i spakowaliśmy plecaki. Okazały się nie do uniesienia i trzeba było ważyć i odkładać wszystko, co nie było bezwzględnie potrzebne. Jednak poniżej 20 kg nie udało się zmniejszyć wagi, ale w miarę jedzenia miało jej codziennie ubywać. Plecaki ówczesne były praktycznie workami zaopatrzonymi w pasy z twardej skóry, które przy takim ciężarze boleśnie wrzynały się w ramiona. Tylko Tato miał swój przedwojenny plecak ze stelażem trzciniowym, który służył mu wiernie od wypraw w Tatry w latach trzydziestych i przez wrzesień 1939 r. Taki plecak był przedmiotem zazdrości.

Bieszczady 1953.

Wyruszyliśmy z Krakowa 4 sierpnia i po całej nocy podróży pociągami, rano dotarliśmy do Ustrzyk Dolnych. Miasteczko było dopiero powoli zaludniane, a jego widok po kilku latach przynależności do ZSRR robił przygnębiające wrażenia zapuszczenia. Jediną trwałą pamiątką był srebrzysty pomnik Józefa Wisarionowicza Stalina w całej postaci. Wrażenie na nas zrobiło to, że na podstawie postumentu widniał wybitny numer seryjny, bowiem produkowano takie pomniki taśmowo.



Teraz trzeba było dotrzeć w góry, ale o żadnym środku transportu publicznego nie było mowy. Państwowa Komunikacja Samochodowa (PKS) jeszcze tam nie działała. Znaleźliśmy więc drogę na południe i po złożeniu Ojcu życzeń szczęśliwej drogi z okazji imienin zaczęliśmy marsz. Było pochmurno, droga bita mocno zniszczona i zaraz za miasteczkiem pustka. Mieliśmy jednak trochę szczęścia, bo od strony Ustrzyk Dolnych nadjechał samochód ciężarowy i jego kierowca zgodził się zabrać nas „na łebka”, to znaczy za drobną opłatą, bo o auto-stopie jeszcze się nawet nie mówiło.

Pomnik Stalina w Ustrzykach Dolnych.

³ Jerzy Mikułowski Pomorski (1937 – 2020 r.) był moim kolegą z jednej ławki od szóstej klasy do matury. Potem prawnik i socjolog, a na końcu Rektor Akademii Ekonomicznej w Krakowie. W drugiej wyprawie uczestniczył Jacek Splawiński, kolega ze studiów, potem profesor farmakologii klinicznej. Niestety nikt z nich nie żyje.

⁴ Wł. Krygowski, Góry mojego życia. W opowiadaniu „Powrót do Jaliny” opisuje fragment wędrowki z roku 1951–go. Natomiast pierwszą powojenną wędrowkę opisał w książce pt. „Wspinaczka po tęczy” w opowiadaniu *Moja mała odyseja*, gdzie wspomina wyjazd z maja 1950 r.

Nie ma pełni szczęścia i po wdrapaniu się na pakę okazało się, że pojedziemy na węglu. Trudno. Dojechaliliśmy tak do Czarnej, a dalej znowu piechotą.

W Lutowiskach pusty, mały, murowany kościół, z wyraźnymi odpryskami tynku, śladami po pociskach, co nasze pokolenie rozpoznawało bezbłędnie. Po przekroczeniu niedawnej granicy droga już była zniszczona kompletnie, mostki pozrywane, nadawała się tylko dla pojazdów terenowych. Wokół łąny niekoszonych łąk i pola porośnięte chwastem. W wiele lat potem ta droga zmieniła się w „pętlę bieszczadzką”. Mostu na Sanie między Lutowiskami a Stuposianami nie zapamiętałem, ale przeprawy w bród też nie więc most zapewne już był.



Droga do Lutowisk,
Pasma Ostrego
Fot. Zb. Affanasowicz
sierpień 1953 r.

W Stuposianach pierwsza strażnica WOP i pierwsze okazywanie dokumentów, bo to już strefa nadgraniczna. Dowiedzieliśmy się jednak, że w strażnicy w Ustrzykach Górnych pozwalają nocować turystom jak pada deszcz.

Po drodze spotkaliśmy idącą w tym samym kierunku młodą kobietę z plecakiem. Po wzajemnym przedstawieniu się, co w tamtych czasach było w górach sprawą naturalną, okazała się studentką, która ma dołączyć do grupy przyjaciół będących już



w drodze od paru dni. Dopiero mocno pod wieczór dotarliśmy w pobliże Ustrzyk Górnych, ale okazało się, że droga prowadzi w bród przez potok Wołosaty, który po ostatnich deszczach bardzo wezbrał i był nie do przejścia.

Żołnierze WOP przed strażnicą.
Stuposiany, I poł. lat 50. XX w.
Fot. arch. rodzinne A. Bartnik



Gdzieś po drodze do Ustrzyk Górnych

Była za to kładka zrobiona z jednej belki, tyle, że potok tak wezbrał, że trzeba było na nią wejść z wody. Zrobiło się prawie ciemno, wszyscy zdjęli buty i naprzód. Niestety Pani, puszczona przodem, w pewnym momencie stanęła i zdecydowanym tonem oświadczyła, że dalej się nie ruszy. Ciemno, pod nogami szumi wezbrany potok, my z butami w rękach. Strach pomyśleć co będzie jak komuś but wypadnie z ręki. Sprawę niezbyt dwornie, ale skutecznie

rozwiązał Janek huknąwszy na biedaczkę „no ruszże się krowo!”. Ta odparła „cham” i równym szybkim krokiem przeszła przez kładkę, a my za nią. Strażnica była już blisko. Na naszą towarzyszkę czekali znajomi zastanawiając się, jak sobie poradzi z kładką, a wśród nich znajomy z Krakowa ksiądz od Św. Floriana – Karol Wojtyła. Byli pod wrażeniem swojej wycieczki na Halicz. Po kolejnym okazaniu dowodów osobistych gościnni WOP-iści wskazali nam izbę z rozłożoną słomą, co było dla nas rozwiązaniem idealnym, bo poza strażnicą w Ustrzykach Górnych nie było nic, a namiotu ze względu na ciężar nie zabraliśmy.

Z zaplanowanej na 6 sierpnia wycieczki na Halicz nici, bo znowu się zachmurzyło i zaczął padać równy, ale rześisty deszcz. Wydawało mi się, że z izby zajmowanej przez grupę studentów z księdzem słyszę jakby odgłosy modlitwy. Janek powiedział, żeby na to nie zwracać uwagi, bo w końcu jesteśmy na terenie strażnicy WOP. Zaraz po tym zabrałem się do gotowania śniadania pod zadaszeniem, a obok i druga grupa. Gotowaliśmy na zewnątrz pod okapem budynku w którym spaliśmy, bo ze względu na słomę baliśmy się rozpałać kocherów w pomieszczeniu. Ksiądz Wojtyła podjął się pilnowania gotowanej owsianki na mleku z proszku, ale równocześnie odmawiał brewiarz, co skończyło się jej lekkim przypaleniem. Widać było, że



jest przez swoje towarzystwo lubiany, bo nikt nawet okiem nie mrugnął. Cały dzień minął na pogwarkach, głównie na temat pogody. Wśród WOP-istów było trochę podniecenia, bo dzień wcześniej w jakiejś opuszczonej chatce wykryli zakopaną w ziemi beczkę z dokumentami UPA. Za parę dni miał przyjechać po nie ktoś ze sztabu i z ulgą przyjęli wiadomość, że nas już prawdopodobnie nie będzie. Po południu przestało padać. Poszliśmy więc obejrzeć kładkę, która już w dzień nie robiła takiego wrażenia. Od strony Połoniny Caryńskiej dotarło jeszcze dwóch panów z PTTK, którzy mieli przygotować ponowne oznakowanie szlaku turystycznego. Panowie z PTTK byli z Zarządu Głównego, pochodzili z Krakowa, przedstawiali się jak to ówczesnie było w zwyczaju, ale nazwisk nie zapamiętałem – Krakowianie, nie znani mi wcześniej.

Jurek MP. i Janek C. na „niebezpiecznej” kładce przez potok Wołosaty.

Rano pochmurno, ale nie leje. Studenci z Księdzem poszli na Caryńską, a my z dwoma panami z PTTK na Halicz. Szlaku znakowanego jeszcze nie było i w dodatku nie można było iść inaczej jak w towarzystwie żołnierza WOP idącego na codzienny obchód.



Szliśmy więc najpierw doliną Wołosatego przez spalone wsie. Przykre wrażenie sterczących kominów wśród chwastów zarastających dawne ogródki. Studnie, z których od lat nie czerpano wody śmierdziały. Wszędzie trawy o pas.

W drodze na Tarnicę.
Fotografuje jeden ze „znakarzy”

Wopista bardzo miły. Odsługiwał tutaj przedłużoną służbę za jakąś awanturę, w której brał udział, kiedy jeszcze był nad Odrą. Z jego relacji wynikało, że musieli odbywać takie „wycieczki” nawet zimą i starannie unikali spotkania na granicy z pogranicznikami radzieckimi. Z doliny Wołosatego wyjście na Tarnicę, skąd bez ścieżki połoniną porośłą częściowo borówkami na Halicz.

Droga wprawdzie niewygodna, często bez żadnej ścieżki, ale bez plecaków. Z Halicza drogą powrotną przez Krzemień i ponownie przez Wołosate do strażnicy. Nocowaliśmy w pustym budynku. Były tam dwie izby ze słomą na podłodze. Mieliśmy śpiwory wełniane



z amerykańskiego demobilu, niestety bez pokrowców, które Składnica Harcerska sprzedawała oddzielnie, bo to był dobry materiał na trencze. Kolejny dzień nadal pochmurny, ale rano bez deszczu.

Marian Ciećkiewicz, Jan Godzicki,
Jerzy Mikułowski Pomorski
(w jasnej bluzie),
WOP-ista z Ustrzyk Górnych
na tle Rozsypańca 1280 m.

Droga na połoninę Caryńską prowadziła tylko fragmentami ścieżki, bo stara zarosła, choć gdzieś na starym buku można zobaczyć spelzłą farbę znaku. Przedzieranie się przez chaszcze na dość stromych podejściach sprawiło, że szybko mamy przemoczone ubrania. W dodatku ciężkie plecaki. I jednak znowu deszcz. Zanim wyszliśmy na rozległą połoninę byliśmy poważnie zmęczeni. W dodatku mżawka i silny wiatr nie pozwały na dobry odpoczynek.

Nawet widoki z Caryńskiej nie były zachwycające. I kiedy wreszcie pogoda zaczęła się trochę poprawiać Tato idąc w wysokiej trawie nie zauważył dołka i skrzył sobie nogę w kostce. Tu już



zaczęły się problemy. Mieliśmy wprowadzić bandaż elastyczny, którym zgodnie ze wskazówkami Ojca zawiązałem mu szybko puchnącą nogę, ale stało się jasne, że nie jest zdolny do dalszej długiej wędrówki i że trzeba będzie tylko jakoś zejść w dół do drogi.

Droga powrotna do Ustrzyk Górnych wydała się już zbyt odległa, a do Wetliny jeszcze dalsza.

W drodze na Połoninę Caryńską

Jednak po tylu przygotowaniach trudno było odpuścić dalszą wędrówkę i zdecydowaliśmy wspólnie, że Janek z Jurkiem będą ją kontynuowali zgodnie z planem, a my z Ojcem będziemy wycieczkę kończyli, schodząc możliwie szybko do drogi między Ustrzykami Górnymi i Wetliną. Nastąpił szybki podział zapasów, przepakowanie plecaków i oni ruszyli w stronę Berek Górnych i Połoniny Wetlińskiej, a my z Tatą w dół na południe. Na szczęście znaleźliśmy ścieżkę w kierunku przełęczki między Połoniną Caryńską a stokami Małej i Wielkiej Rawki. Upchałem ile się dało do plecaka Taty, który sam zarzuciłem na plecy dając mu swój, już lżejszy i zaczęliśmy schodzić. Pomimo, że Tato chodził z dużym kijem musiał się dość często podpierać także na mnie. Widząc, z jakim trudem idzie zacząłem wątpić, że za dnia gdzieś dojdziemy. Od rana nie spotkaliśmy żywego ducha. Ale kiedy schodziliśmy w dół przez las, zobaczyliśmy jakieś kobiety zbierające borówki. Mówiły ze sobą po niemiecku. Mój Ojciec znał niemiecki biegle i szybko się dowiedział, że zbierają borówki dla Spółdzielni „Las” z Opola, że są w większej grupie i nie dalej jak kilometr niżej są rozstawione ich namioty. Wkrótce, po zejściu z lasu i my zobaczyliśmy



obozowisko. Były to dwa duże namioty rozstawione poniżej przełęczki, obok drogi, przy dobrym źródle, z kuchnią polową ustawioną pod zadaszeniem.

Wszystkiego pilnował starszy, kulawy mężczyzna. Nikt nie mówi po polsku. Okazało się, że zbierają borówki, po które 2 razy w tygodniu przyjeżdża samochód z Cisnej, gdzie są wstępnie przerabiane przed dalszym transportem.

Obozowisko zbieraczy jagód pod Wyżniańskim Wierchem.
Berehy Górne



Marian Ciećkiewicz w obozowisku jagodziarzy.

Samochód niedawno odjechał, ale za trzy dni znowu będzie, a my możemy rozłożyć nasze śpiwory na słomie w kącie jednego namiotu.

Znakomicie. Tato powiedział, że to spotkanie, a nie skręcenie nogi traktuje jako spełnienie dobrych życzeń szczęśliwej

drogi jakie złożyliśmy mu na początku wędrówki. W dodatku pogoda zaczęła się robić piękna. Na pytanie czy są autochtonami z Opolszczyzny nasz nowy gospodarz powiedział, że nie. Dobrze wiedzą, iż ich wieś została założona w czasach Fryderyka Wielkiego z osadników pochodzących ze Szwabii, ale kiedy zaczęły się wysiedlenia z Opolszczyzny podpisali polską volkslistę, żeby ratować ojcowiznę, a stosunki z żyjącymi tam Ślązakami uważającymi się za Polaków były tak dobre, że ich władzom polskim nie wydali. Połowa zbierających borówki kobiet, w większości młodych, była wdowami - wojna skończyła się zaledwie przed ośmiu laty. Po południu wszystkie wróciły z ubieranymi borówkami. Niektóre bardzo zdenerwowane, bo zajęte zbieraniem nie zauważyły, że wchodzi w stado pasących się dzików, ale nie były atakowane. Starszy Pan przygotował dla nich gorący, jednodaniowy posiłek. My swój przygotowaliśmy sobie sami. Noga Taty po okładaniu zimną wodą ze źródła kłęsa i kiedy nią nie ruszał, nie bolała. Przemoczone ubrania schły szybko na słońcu i wietrze.

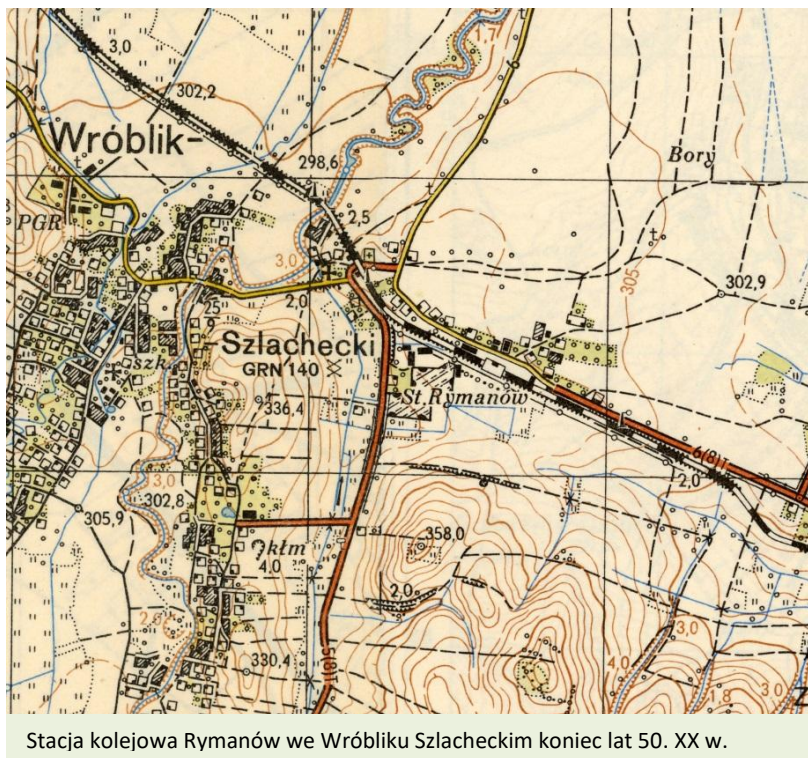
Żał mi było przerwanej wędrówki, więc następnego dnia, korzystając z ładnej pogody zacząłem podchodzić stokiem Małej Rawki. Nie miałem już mapy, ale znalazłem jakąś drożynę. I tak idąc w górę pięknym lasem i polankami wyszedłem w końcu na szczyt Wielkiej Rawki. Pamiętając, że tuż pod szczytem biegnie granica zawróciłem i bardzo głodny wróciłem do obozowiska, gdzie rezydował Tato gwarząc ze starym Niemcem. Jak się okazało był inwalidą z I wojny światowej i to z czasów ofensywy w Galicji, w której pomimo, że był kucharzem został ranny odłamkiem w nogę, którą wtedy stracił. Kiedy przyszedłem zastałem tam jeszcze dwóch WOP-istów, którzy mnie przykładowie wylegitymowali i pytali, gdzie byłem. Kiedy powiedziałem gdzie, popukali się w czoło i powiedzieli, że mam więcej szczęścia niż rozumu, bo tam do tej pory są pola minowe. Hm... Do tej pory nie wiem, czy to była prawda, czy taki sobie wojskowy żart. Po jeszcze jednym dniu przymusowego odpoczynku nadjechał samochód po borówki. Weteran wojny ZIS 105 – model produkowanego w ZSRR Forda T - nie był nadmiernie wyładowany i na pace znalazło się dla nas miejsce, w dodatku siedzące na zapasowych oponach. Dzięki temu na moich sztruksowych spodniach zachowały się na długo odbite ich marki. Stara zniszczona droga przez dawne Berechy i Wetlinę, gdzie była tylko następna strażnica WOP doprowadziła do Cisnej. Tu kolejna strażnica, ale i kilka zamieszkałych domostw, a pod lasem polowa przetwórnia owoców spółdzielni „Las”. Tam blanszowano wstępnie przywożone z kilku punktów owoce przed dalszym transportem. Na nasze szczęście taki transport beczek był właśnie przygotowany i tak dostaliśmy następną okazję

dojazdu lepszą nieco drogą przez Baligród i Lesko do Zagórza. Stamtąd już gładko dojechaliśmy pociągiem do Krakowa.

W 1954 r. Ojciec i Janek przeszli ponownie wytyczany już wtedy szlak od Krynicy do Cisnej, idąc w ślad za tajemniczym tropem pojedynczego człowieka, którego spotkali dopiero pod koniec wędrówki. Okazał się być bardzo miłym, samotnie wędrującym dominikaninem. Ja nie mogłem wtedy iść z nimi, bo musiałem uczyć się do egzaminu na studia. Ponowna okazja nadarzyła się za rok.

Bieszczady 1955 r.

Było lato 1955 r., kiedy znowu wyruszyliśmy we trójkę w Bieszczady. Mój szwagier Janek, Jacek Splawiński i ja. Janek miał już 35 lat, my z Jackiem po 18

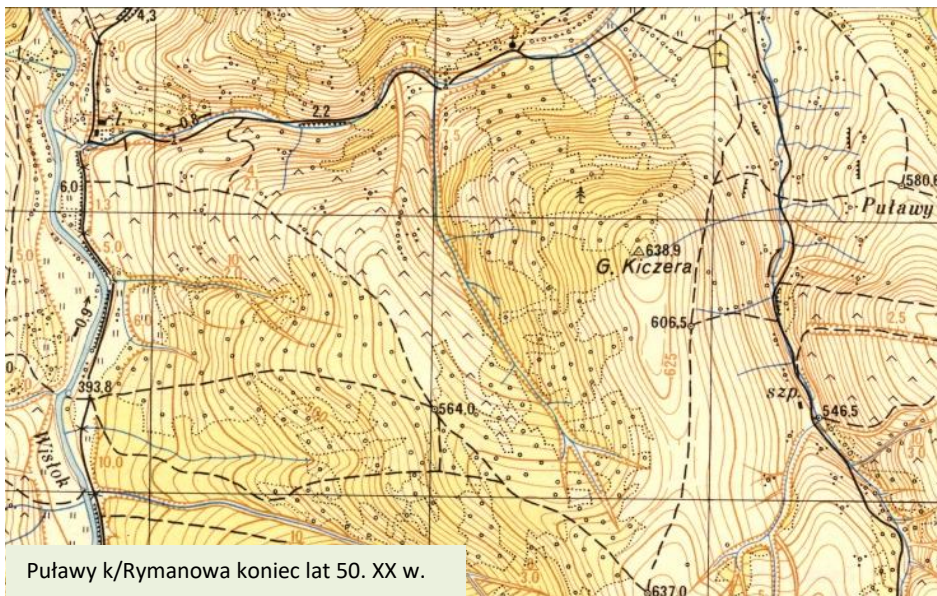


Stacja kolejowa Rymanów we Wróbliku Szlacheckim koniec lat 50. XX w.

i byliśmy po pierwszym roku medycyny. Jacek, którego znalazłem od roku wydał się być dobrym towarzyszem, no a Janek jak zwykle natychmiast zgodził się iść w góry. Podróż nocnym pociągiem (osobowy, 3 klasa tzn. drewniane ławki i 8 osób w przedziale) do Wróblika Szlacheckiego. Plecaki wylądowane były po brzezi, bo ruszaliśmy w kraj jeszcze wyludniony, do którego dopiero miało powrócić życie. Po poprzedniej wyprawie już wiedziałem, że znowu będzie jak w dziewiętnastowiecznej Kanadzie z powieści Londona i Curwoda. Dlatego trzeba było

nieść ciężkie konserwy z wołowiną i byczkami w pomidorach, chleb, lżejszą suchą kiełbasę „myśliwską”, kostki kuwertyry czekoladowej i herbatniki Petit Beure, owsiankę i mleko w proszku. Oczywiście też kocher z zapasem spirytusu denaturowanego, którego zapach nakłada mi się we wspomnieniach z aromatem lasów i hal. Zabraliśmy też mały namiot z demobilu US Army, składający się z 2 płacht. Miałem też swój powód do zadowolenia, bo w drukarni kolejowej, gdzie pracował mój Ojciec, mechanik „złota rączka” zrobił z cienkiej rurki aluminiowej stelaż do mojego plecaka. Taki plecak łatwiej pakować i nosić. Po nieprzespanej nocy marsz drogą przez Rymanów do Rymanowa Zdroju, następnie przeprawa w bród przez Wisłok i nocleg rutynowy w tamtych latach, tj. u chłopca na sianie⁵. A rano w drogę przez pasmo Bukowicy. I zaraz na początku niemiła przygoda. Idąc pod górę nagle poczułem silny ból jakby mnie ktoś dźgnął w plecy. To pękła rurka stelaża od plecaka, przebiła koszulę i na szczęście tylko mnie skaleczyła. Po nieudanych próbach naprawy trzeba było stelaż wymontować i przepakować plecak.

⁵ Najprawdopodobniej nocleg był w leśniczówce w Puławach, gdyż innych zabudowań nie było wtedy w tym rejonie.



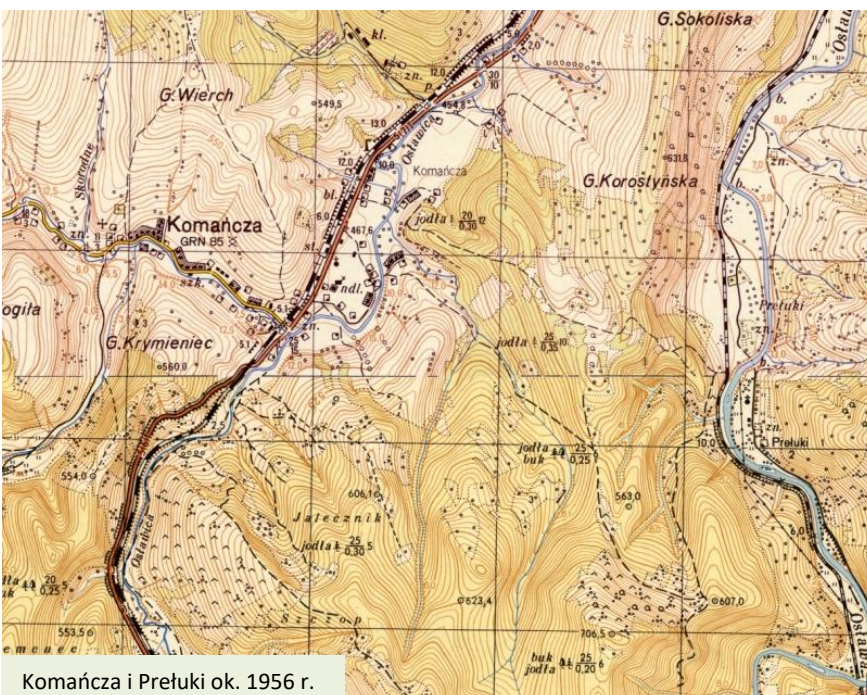
Puławy k/Rymanowa koniec lat 50. XX w.

Wiedzieliśmy o dużej ilości żmij – mieliśmy nawet ze sobą surowicę i strzykawkę. Na wszelki wypadek jednak zaopatrzyliśmy się w kije, którymi staraliśmy się ruszać trawę przed sobą. Długi marsz przez piękny las zatrwały gzy końskie, nie tylko rozmnożone do niebywale wielkich stad, ale gryzące

nawet przez wiatrówkę i flanelową koszulę. Trudno było wybrać czy rozgarniać trawę czy oganiać się od owadów. Żmije były jednak hipotetyczne, a gzy przeraźliwie realne. Na polankach leśnych rosły wspaniałe poziomki, ale zbierane tak, że kiedy dwóch z nas leżało na trawie jedząc pachnące owoce, trzeci musiał nad nimi energicznie machać skafandrem. I zupełna pustka. Przez cały dzień nie spotkaliśmy żywego ducha. Ścieżka ledwo przedeptana i szlak ledwo zaznaczony, ale nie pogubiliśmy się i pod wieczór doszliśmy do Komańczy. Niegdyś była to ludna wieś – ale obecnie kilka, może kilkanaście zagród. No i mały klasztor SS. Nazaretanek, w którym przyjmowały na nocleg turystów – późniejsze miejsce odosobnienia Prymasa Wyszyńskiego, ale to nie był nasz standard. W jednej z chałup przyjęli nas na nocleg w szopie z sianem. W przeciwieństwie do górali beskidzkich ludzie mało rozmowni, raczej nieufni wobec obcych. Pytanie czy są tutejsi, czy dopiero niedawno osiedleni pozostaje bez odpowiedzi. Chleba wprawdzie nie było gdzie kupić, ale nie oszczędzamy licząc na to, że jurto dojdziemy do Cisnej, w której podobno jest już sklep. Sen zdrowy. Ciekawe, że siano

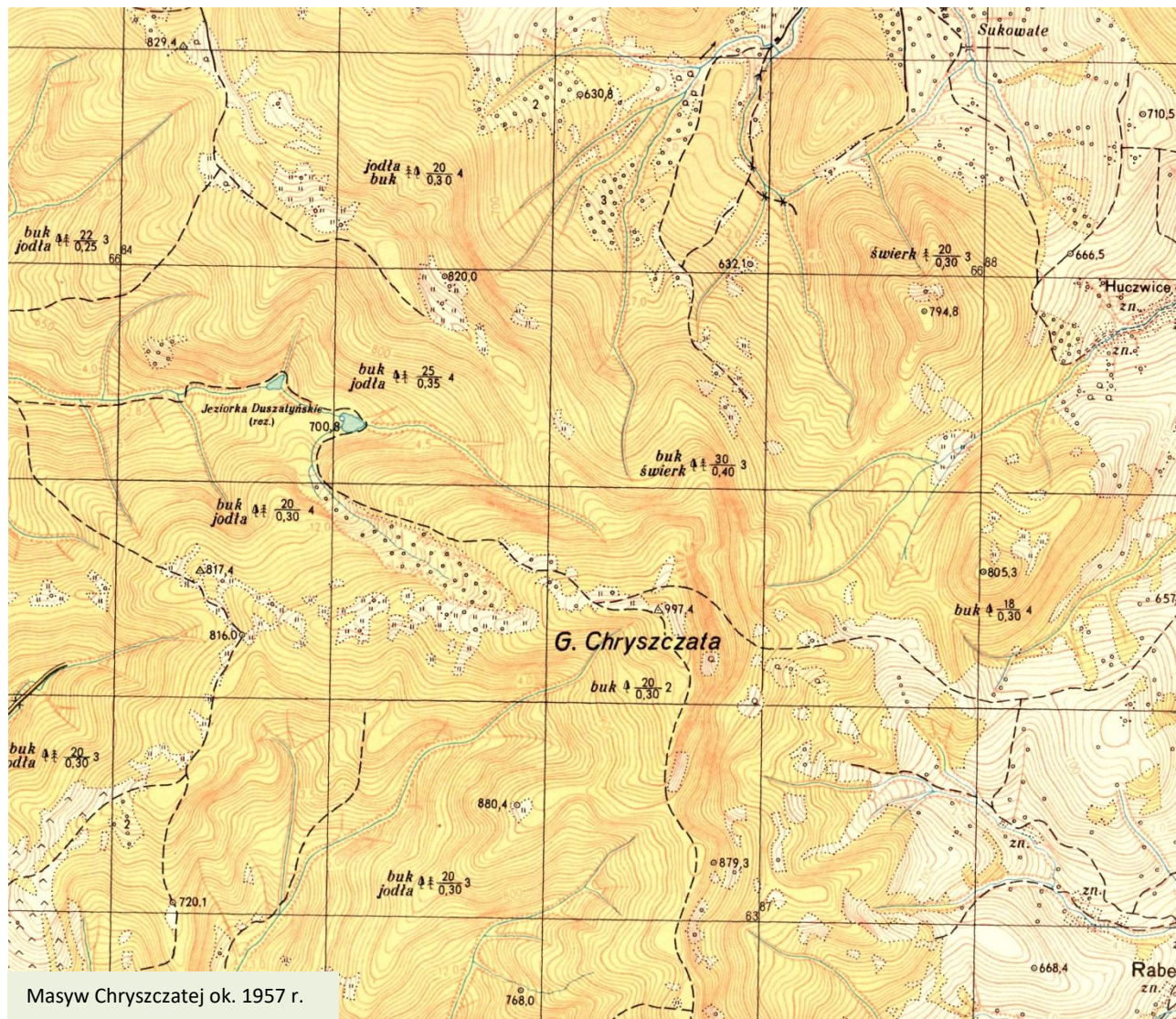
w każdej szopie pachnie trochę inaczej.

Stąd rano wyruszyliśmy przez pozostałości Duszatyna, mocno zrujnowanym torem kolejki leśnej do Duszatyńskich stawków i na Chryszczatą. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że idziemy przez tereny będące kilkakrotnie świadkami ciężkich walk, zarówno w I wojnie światowej jak i w latach 1945 – 1947.



Komańcza i Pretuki ok. 1956 r.

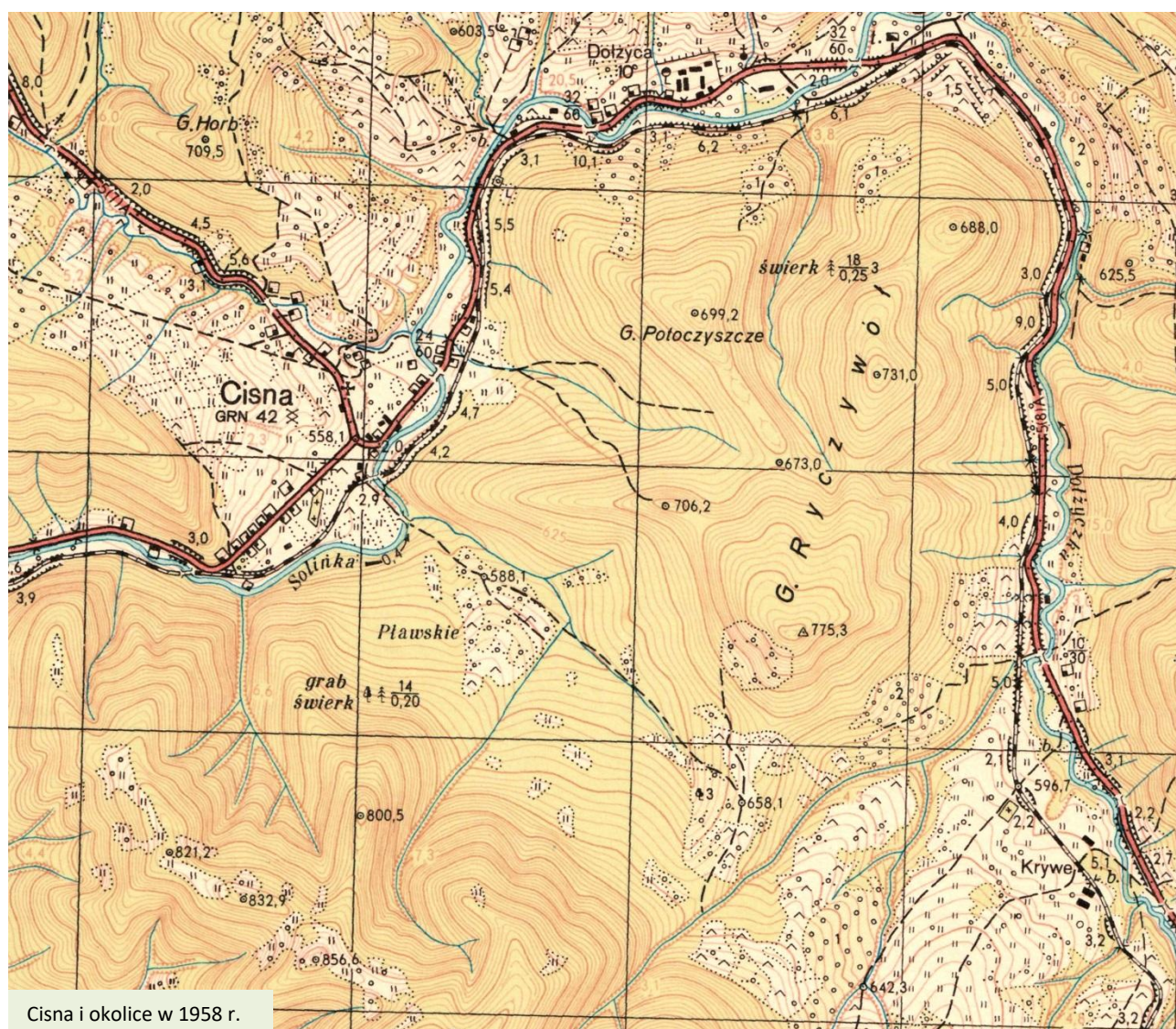
Dróżka przechodziła zaledwie kilkaset metrów od zniszczonego szpitala polowego UPA ulokowanego w wielopiętrowych ziemiankach⁶. Przechodzenie przez miejsca, w których tylko kominy wskazywały, że była tu kiedyś wieś było przygnębiające. Nastrój poprawiał się w lesie i w górach. Mroczny maszyn Chryszczatej pokonywany ledwie widoczną ścieżką, często wśród wysokich po pas traw, robił wrażenie. Znowu pusto i bez ludzi na szlaku.



Góry już wyższe, do 1000 m. n.p.m., ale porośnięte lasem, tylko od czasu do czasu szczyt i przedwojenny triangul (wieża triangulacyjna – coś o czym w dobie GPS i map satelitarnych nawet nie trzeba się uczyć). Były to zmyślnie i wysokie nawet na kilkadziesiąt metrów konstrukcje drewniane z platformką pod szczytem. Wychodzenie na nie było nie bardzo bezpieczne, bo nie remontowane przez lata traciły szczyble, a i belki już pękały. Strach wynagradzały przepiękne widoki na rozległe, pokryte lasami góry. Janek oczywiście nazywa je wszystkie z pamięci, a my nie możemy tego sprawdzić. Ale jego instykt górski rzeczywiście był znakomity. Niestety w czasie marszu trochę rozleglejszą

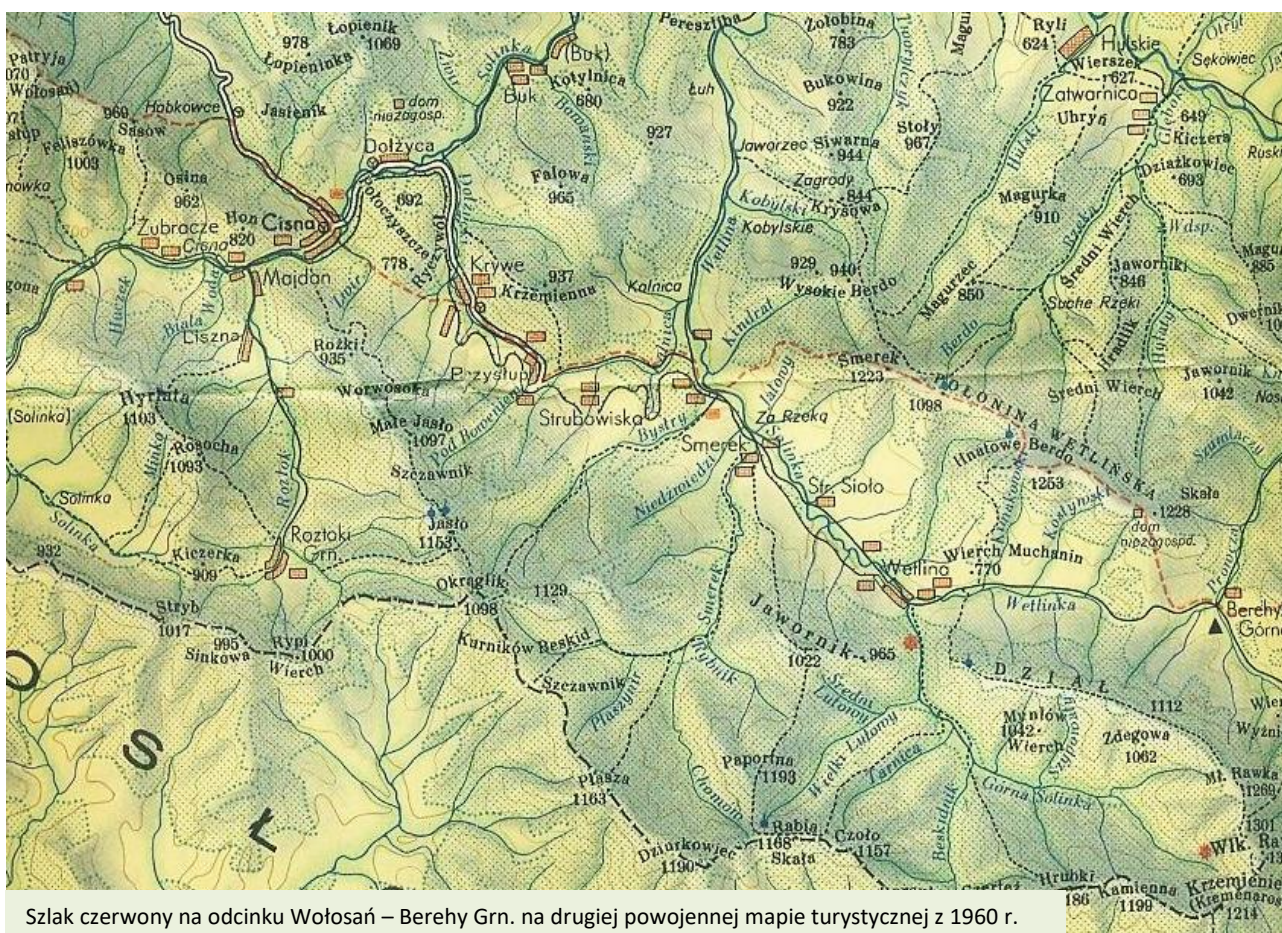
⁶ Wiele lat później opowiedział mi o tym Pacjent będący jako d-ca tzw. Konnej Grupy Manewrowej WOP uczestnikiem tych zdarzeń. Zapewne chodzi o kapitana Antoniego Skwarczewskiego z Grupy Manewrowej i Zwiadu WOP z Lubania (W.G.)

ścieżką, urozmaiconego jak zwykle dyskusją literacko-ligwistyczno-historyczną, nagle zobaczyliśmy Janka tańczącego na jednej nodze i wydającego dziwne okrzyki. Pierwsza myśl straszna, że zwariował. Kiedy się odrobinę uspokoił okazało się, że jakiś mały owad wpadł mu do ucha, kręci się tam powodując huk w głowie. Nie było nawet czasu do zastanowienia się co robić, bo w pół słowa ruszył biegiem przed siebie. My chcąc nie chcąc za nim, a plecaki ciężkie. Przebiegł tak kilkaset metrów i to pod górę i dobiegł do szczytu Wołosania (Patryja), zrzucił plecak i wspiał się na szczyt triangula, gdzie nadal biegał wkoło platformy wykrzykując, że chyba trzeba będzie dostać się do szpitala. Ale gdzie, to przecież kilkadziesiąt kilometrów. Przyszła mi jednak zbawienna myśl do głowy i to, pomimo, że jeszcze się tego nie uczyłem. Zabrałem manierkę z wodą i strzykawkę. Wydrapałem się za Jankiem na górę, gdzie z pomocą Jacka nakłoniłem szwagra do uspokojenia się na chwilę, żeby delikatnie wlać mu do ucha strzykawkę wody. I wypłynęła mała muszka. Nie mogliśmy się nadziwić, że coś tak małego może sprawić tyle kłopotu. Dalsza droga była już spokojna pomimo przelotnego deszczu i dotarliśmy do Cisnej.



Była to już inna Cisna niż pamiętana sprzed dwóch lat, kiedy była tam strażnica WOP i mieszkało zaledwie kilka rodzin. Teraz widać było więcej zamieszkałych domów i czynny tartak. Stały przy nim jakieś baraki, a przy skrzyżowaniu dróg był sklep. Rosła nadzieja

na chleb. Jednak z bliska okazało się, że złudna. Na drzwiach sklepu powiewała kartka z napisem: „Wyjechałem w sprawach rodzinnych, wrócę za tydzień”. Przepadkowy przechodzień powiedział, że kartka wisi już dwa tygodnie. Ale była też tabliczka drogowskaz: „do stacji turystycznej w Cisnej 300 metrów”. Nie bardzo wiadomo dlaczego znowu zaczęliśmy biec i to pomimo kilometrów w nogach. Przejeżdżający konno w przeciwnym kierunku WOP-ista tylko krzyknął: „zwariowała wycieczka czy co!”. Ale może znak czasu. W przeciwieństwie do lat ubiegłych nie zatrzymał się, żeby nas wylegitymować choć byliśmy już w strefie nadgranicznej. Stacja turystyczna to był jeden z baraków, w którym były prycze, sienniki i koce. Przed barakiem była też studnia. Nie było natomiast żadnego gospodarza. Ale jako członkowie PTTK uznaliśmy nasze prawo do noclegu i rozgościliśmy się. Niestety chleba już w plecakach nie było. Był za to nieoceniony Jacuś, który widząc gromadzących się przed stołówką w tartaku robotników poszedł do nich prosząc o troszkę chleba dla małego braciszka. I wrócił z jednym całym bochenkiem. Pod wieczór zjawili się jeszcze dwaj leśnicy „w delegacji” szukający noclegu, którego im udzieliliśmy wydając koce. Chcieli nawet płacić i to na tydzień z góry, ale uznaliśmy, że to by już była przesada – zapłacą, jak wróci kierownik.

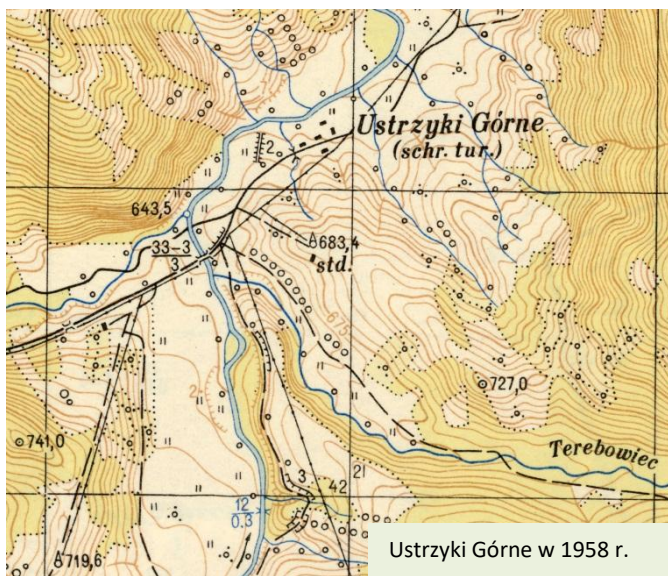


Szlak czerwony na odcinku Wołoszka – Berehy Grn. na drugiej powojennej mapie turystycznej z 1960 r.

Kolejnego ranka, po oszczędnym śniadaniu ruszyliśmy skrótem przez las do Krywego, skąd bitą drogą do Przysłupu i dalej drogą gruntową wzdłuż potoku Kalnica w stronę Wetliny. Mijane wsie to znowu sterczące w niebo kominy i kwadraty pokryw w miejscu domostw. Okolica ponoć przed wojną przeludniona. Po kolejnym przejściu brodem Solinki dość ostre podejście na Smerek – pierwszy wierzch Połoniny Wetlińskiej. Teraz już stałe rozległe widoki. Mijamy małą grupkę idącą w przeciwnym kierunku. Krótka miła pogawędka. Cenna informacja, że w strażnicy WOP w Ustrzykach Górnych dają

możliwość noclegu, ale sklepu tam też nie ma. Liczą na sklep w Cisnej. Pod wieczór, nie spotkawszy już innych ludzi schodzimy do miejsca dawnej wsi Berehy Górne. Mijamy stary cmentarzyk i wybieramy miejsce na biwak na wysokim brzegu nad potoczkiem. Pustkowie zupełne. Janek jako stary żołnierz ustalił kto jaką bronią ma się w razie czego posługiwać (nóż, mały toporek i kij). Rozbiliśmy namiot oparty na dwóch naszych kijach przeciwzmijowych i choć nam się zdawało, że z oddali było słychać jakieś wycie zasypiamy pomimo twardego postania.

Rano wstałem i po krótkiej ablucji w potoku zabrałem się do gotowania śniadania. Natomiast Janek i Jacek postanowili się wykapać, a rozwydrzeni stałym brakiem kontaktu z ludźmi pluskali się w wodzie po kolana, tacy jak ich Pan Bóg stworzył. I dziw nad dziwy. Stojąc na wysokim brzegu zobaczyłem zbliżającą się grupę góralek idących z grabiami jakby w Gorcach do siana. Były jeszcze za zakrętem, więc powiedziałem współtowarzyszom, że idą góralki. Na to usłyszałem, że dawno nie widziałem dziewcząt, że taka samotność rzuca się czasem na głowę, ale że to mi przejdzie. Zanim skończyli, kobiety, a właściwie młode dziewczyny wyszły zza zakrętu. O! Było to zaiste ożywienie w ich monotonnym życiu, a Janek z Jackiem prawie się pobili o rosnący na brzegu potoczka mały świerczek. Były to trzy dziewczyny, wyraźnie z Podhala, co wtedy widać było od razu. Szły w górę potoku. Mówiły, że są z bacówki i żeby je odwiedzić, zwłaszcza ten wysoki pan zza smrecka. Później w jesieni mówili mi znajomi z Gubałówki, że jacyś bacowie byli w Bieszczadach na zwiady i chyba będą tam jeździć, bo „jest tam gdzie paść”. Potem chłopaki wprawdzie zjedli śniadanie, ale się na mnie obrazili, bo chociaż przyznali, że mówiłem o zbliżających się góralkach, ale nie powiedziałem, że one idą NAPRAWDĘ. I prawie przez całą Połoninę Caryńską rozmawiali między sobą puszczać wtrącając



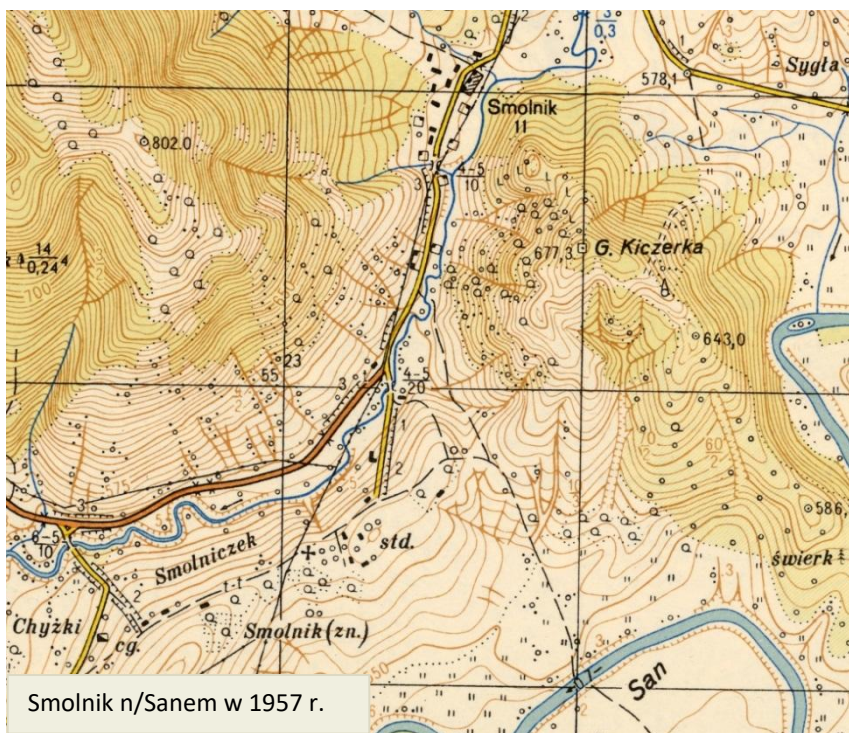
przeze mnie uwagi mimo uszu. Podczas zejścia do Ustrzyk Górnych znowu popadał deszcz. Tam nadal nie było nic poza strażnicą WOP.

Po deszczu niesporo nam było rozbijać namiotu, który nie miał podłogi, więc poszliśmy do strażnicy. Tu już zostaliśmy przykładnie wylegitymowani, ale przyjęli nas gościnnie. Wprawdzie inaczej niż przed dwoma laty nie można było nocować w izbach, ale pokazali nam kryty daszkiem bróg siana. Kiedy już mościliśmy sobie postania zauważyliśmy, że na płocie wisi i schnie kilka zabitych

żmij. Jeden z żołnierzy powiedział, że zabili je dziś rano przy przekładaniu siana w naszym brogu. Po krótkiej dyskusji uznaliśmy, że może nie będzie już drugiego stadka, jesteśmy zmęczeni i w końcu mamy surowicę przeciw jadowi żmij (po pierwszym roku medycyny znaleźliśmy część anatomii, trochę chemii i fizyki i połowę kursu marksizmu i leninizmu; nie uczono wtedy jeszcze pierwszej pomocy na pierwszym roku o co się dopiero po czterdziestu latach postarałem). Noc była trochę nerwowa.

Okazało się, że można już wybrać się na Halicz bez asysty żołnierza (i tak ich tam spotkamy). Ruszyliśmy więc rano doliną Wołosatego – znowu spalone wsie i w górę

na Tarnicę, Krzemień i Halicz skąd dalsze dojście do Przełęczy Użockiej było już zabronione. WOP-iści wprost ostrzegali, żeby nie zbliżać się do granicy ZSRR, bo tamci najpierw strzelają, a potem sprawdzają dokumenty. Plecaki były już lekkie, na kolejny nocleg przy źmijach nie mieliśmy ochoty i trzeci dzień żywiliśmy się resztą suchej kiełbasy z herbatnikami. W Ustrzykach żołnierze mówili też, że w Smolniku otwarto PGR i że tam można kupić wino. Jak wino to pewnie i chleb. Zdecydowaliśmy zatem nie wracać do Ustrzyk Górnych, a zejść śladem dróżki przez Bukowe Berdo do Bereżek – znowu określenie miejsca, a nie wisi. Stamtąd już dalej drogą idącą doliną Wołosatego około 10 km marszu do Smolnika.



PGR hodowlany rzeczywiście był. Pracownicy z rodzinami mieszkali w domach. Tylko sklepu nie było. Wino i wódkę można było kupić, ale pokątnie od mieszkańców. Jedna rodzina zgodziła się nas przenocować. Z chlebem i u nich było krucho, ale ugotowali nam ziemniaków. W rozmowie a skąd..., a dokąd..., a kto..., powiedzieliśmy niebacznie, że studenci medycyny. I jak na zamówienie za oknem wrzask i krzyki.

To zerwany z łańcucha buchaj wybiegł z obory. Nasz

gospodarz, który właśnie nim się opiekował pobiegł pierwszy, ale zaraz został przez zwierzę przewrócony i turlany rogami po ziemi. Wszyscy pobiegli na ratunek, a my z nimi. Krzyczeliśmy i rzucaliśmy czym kto mógł. Tak straciliśmy nasze wysłużone kije. Okazało się, że chłop podniósł się sam, miał wyraźnie zwichnięty bark i ogromnie narzekał na ból żeber i brzucha. Ale twierdził, że mu to przejdzie tylko, że jak jesteśmy medykami to mamy mu szybko nastawić bark, bo nie rusza ręką. To znacznie przekraczało nasze kompetencje zawodowe, więc bardzo stanowczo doradzaliśmy transport do szpitala, który już działał w Ustrzykach Dolnych odległych ponad 20 km. Może była tam też jakaś karetka, ale w Smolniku nie było telefonu. Sąsiad umościł sianem furkę i ruszyli w drogę. Może i dobrze, że nie umiałem jeszcze nastawiać zwichnięcia barku, bo jak dowiedzieliśmy się następnego dnia, w drodze chłopina cierpiał coraz większą duszność, został przyjęty do szpitala i miał tam być operowany⁷.

Brak chleba i żywności zmusił nas do porzucenia planów spenetrowania dzikiego pasma Otrytu i rano musieliśmy zacząć marsz szosą do Ustrzyk Dolnych. Była niedziela i żadnej „okazji” w postaci traktora z przyczepą nie było. Przez Lutowiska (wypalony

⁷ Po paru latach zgadłem się z dr. Mikiewiczem, który wtedy pracował w Ustrzykach. Pamiętał pacjenta, który poza zwichnięciem w stawie barkowym i połamanymi żebrami miał pękniętą przeponę z przemieszczeniem trzewi do klatki piersiowej. Zoperowany wyzdrowiał.

kościół i kilka domostw – to był już teren należący kilka lat do ZSRR) dotarliśmy do Czarnej. Tam rozpoczęła już pracę mała kopalnia ropy naftowej i ku naszej wielkiej radości była otwarta Gospoda Ludowa. Cóż kiedy chleba można było kupić tylko 2 kromki do zakąski. A jedyną zakąską był śledź w śmietanie. Trudno. Pan za szynkwasem zakasał rękaw od koszuli i wyjął z beczki 3 solone śledzie, które z grubsza wyplukał w miedniczce z mętną wodą i rzucił na talerze. Potem nakrajał na nie cebuli w plastrach i dodał po łyżce śmietany. Może nie było to najlepsze na upał, ale było i piwo, tyle że nie zimne. Nieco posileni pomaszrowaliśmy dalej. Teraz droga była już nużąca, bo i upał, i piwo, a piękne lasy zostały za nami. Od Ustrzyk Dolnych to już tylko pociągi osobowe z przesiadką w Sanoku. No ale jak widać zostały wspomnienia.

Choć obiecywaliśmy sobie następne wyprawy w Bieszczady przez wiele lat tam nie dotarłem, a kiedy po latach jechałem przez pętlę bieszczadzką samochodem, z dawnej atmosfery tej ziemi nie było już nic. Raz jeszcze los skierował mnie w Bieszczady w latach dziewięćdziesiątych. Na lotnisku w Sanoku próbowaliśmy lotu na długiej linii pod śmigłowcem w tzw. kamizelce ratunkowej Kendricka służącej do unieruchamiania kręgosłupa. Lotu zakończonego zamoczeniem w przepływającym obok lotniska Sanie. W schronisku w Cisnej uczyłem ratowników GOPR zaawansowanych technik udzielania pomocy po wypadkach, wieczorem zaś przy ognisku były pogawędki i wspomnienia. Okazało się, że tylko ja pamiętam Bieszczady naprawdę dobrze, a oni, mieszkańcy tej ziemi tego z zainteresowaniem słuchają, może niektórzy trochę niedowierzając. I może dlatego postanowiłem moje wspomnienia spisać.

Glossa

To była tylko jedna moja bieszczadzka wyprawa - jeżeli nie liczyć samochodowej przejażdżki po pętli gdzieś we wczesnych latach 70. XX w., ta z roku 1953. W mojej pamięci pozostały z niej pewne ślady, ale nie uporządkowane, bo też nie byłem do tematu Beskidy Wschodnie przygotowany.

Był to jeden z moich debiutów wędrówek górskich, zwłaszcza tych dłuższych i intensywnych „wyrp”. Zamiłowanie do nich miało się dopiero tam rozbudzić, owocować i trwać aż do końca studiów. W tym czasie nie byłem pewien czy fizycznie dam sobie radę. Mniej więcej miesiąc wcześniej odbyłem intensywny trening sportowy na obozie szermierczym w Jeleniej Górze, co okazało się bardzo pomocne podczas wędrówki w Bieszczadach. Kilka więc tematów godnych uwagi.

Ziemie porzucone. *Znaleźliśmy się raptem na ziemi niczyjej. Gdy podróż koleją z jej meandrami i przesiadkami prowadziła nas do odległej, ale w sposób prowincjonalny oswojonej Polski, to, gdy wkroczyliśmy na obszar „oddany” w ramach wymiany z ZSRR byliśmy jak osadnicy na obcym terenie. Jeszcze w czasie jazdy doświadczyliśmy tej prowincjonalnej swojskości, gdy pociąg raptem zwolnił biegu i zaczął się wlec. Zapytany o przyczynę konduktor wyjaśnił, że na torach pasie się koń. Pomocnik maszynisty stara się go spłoszyć, a nawet rzuca kawałkami węgla, ale to na koniu nie robi wrażenia.*

Tu było inaczej. To co po czasach polskich pozostało było zniszczone i trudno było rozpoznać czy to przez wojnę, czy świadome działanie. Pamiętam wielkie magazyny na ropę w Czarnej z dziurami po kulach, które czyniły je niezdatnymi do użytku. Ruiny kościołów też nosiły na sobie ślady celowego zniszczenia. W końcu te dziwne prostokąty

bujnej roślinności, które okazały się pozostałościami łemkowskich i bojkowskich wsi. Z nich tylko wystawały opalone belki, a przebijały się wkoło drzewa owocowe zdziczałych sadów, z owocami cierpkimi. Podobnie ruiny drewnianych cerkiewek. Deprywacja wsi zwłaszcza wsi, bo miasto Ustrzyki Dolne nosiły piętno jakiejś cywilizacji, choć o tym jakiej świadczył pomnik Stalina. Oburzać się na to czy poczuwać do winy, bo w walce z UPA polskie wojsko uczestniczyło, to było zbyt złożone i uniemożliwiało percepcję. Dla dziecka czasów wojny była to wędrówka w ponurą, ale znaną przeszłość. Podobne, lecz nie tak intensywne uczucia przeżywam dziś w Ukrainie i Białorusi.

Przyroda. Pierwsze wrażenie to wszechobecność wilgoci. Zarośnięte drogi i polany, zieleń pleniąca się wszędzie, były przesiąknięte wilgocią. Pogoda była sprzyjająca, nie pamiętam żadnej ulewy, która wymagałaby schronienia, czasem spadł deszczyk, ale mokrzy byliśmy bez przerwy. Nie sposób było ubrania wysuszyć, albo przebrać w coś suchego, bo też nasze bagaże były bardzo skromne. Podobnie jak Jan nie pamiętam zachwycających



widoków i panoram, wiele kryły chmury, ale odrębności przyrodnicze rzucały się w oczy. Połoniny inne niż hale i zwykłe łąki, po nich stąpa się jak po sprężystych materacach. Galeriowy układ lasów, zwłaszcza na granicy połonin.

Krzemień, za nim Kopa Bukowska i Halicz ze stoku Tarnicy sierpień 1953 r.

Nie spotkaliśmy agresywnych zwierząt. Nawet rodzina żmij, które rozłożyły się na samym szczycie Smereku nie okazała się groźna, gdy zrezygnowaliśmy z biwakowania w tym miejscu.

Ludzie. To byli głównie WOP-iści, którzy okazali się bardzo gościnni im bardziej wkraczaliśmy na ich terytorium. Gdy znaleźliśmy się w Ustrzykach Górnych zastanawiając się, gdzie w tym terenie podmokłym stanowić biwak, zostaliśmy zaproszeni do izby, dostaliśmy ich chleba, wrzątku oraz zaproszenia, to było skierowane głównie do pań, panowie mogą też przyjść, na wieczorek tańczący. Żołnierz, który wyszedł z nami patrolować granice, był w rezultacie naszym przewodnikiem w drodze na Halicz, Tarnicę, Bukowe Berdo, okazał się życzliwym i bardzo normalnym człowiekiem. Ale jeszcze



bardziej zachwyciły mnie nieformalne stosunki w stancy. Chłopcy grali w siatkówkę, dobrotliwie ochrzaniając oficera, który okazał się ich szefem. Goniec z innej stancy przyjechał konno, konia rozkulbaczył i puścił wolno by się pasł. Gdy miał wracać koledzy poszli złapać mu konia, bo temu miejscowa trawa bardzo smakowała.

W drodze na Halicz. sierpień 1953 r.

Grupa w dalszym marszu.

Po spokojnym zejściu z Połoniny Caryńskiej nastąpił ten fatalny wypadek Doktora Ciećkiewicza⁸. Sytuacja wymagała zdiagnozowania. Czy kończymy program, czy też część z nas idzie dalej i realizuje przynajmniej bieszczadzką część. W zamyśle mieliśmy dojść do Krynicy i tak zakończony program byłby dopiero piękny. Ale dojście do Komańczy to też byłoby coś. W efekcie rozdzieliliśmy się na drodze do Wetliny. Doktor wraz z Janem poszli szukać pomocy u ludzi, Janek i ja ruszyliśmy w dalszą drogę to jest na Połoninę Wetlińską, Smerek i dalej ku Cisnej. Należało odrobić utracony przez wypadek czas, więc ruszyliśmy bystro pod górę. Janek był starszy i silniejszy, w wędrówkach zaprawiony, ja dopiero debiutant, ale jego tempo mnie nie przeraziło. Wytworzyliśmy wówczas taki rodzaj marszobiegu, który później stosowaliśmy w naszych wyrypach w Beskidach i Tatrach. Taki marsz kończył się aż do zakwaszenia mięśni i ich skurczy, jak to oglądamy u piłkarzy.

Nie odtworzę dziś całej trasy przez Cisną, gdzie nocowaliśmy w stodole, do której wpuścił nas mrukliwy, ale nie wrogi gospodarz. Przez skurcze cierpiełem szczególnie, gdy bezsilnie patrzyłem jak miejscowy pies wywleka z jankowego plecaka piękne pęto kiełbasy, a ja się nie mogłem ruszyć.

Od Cisnej pogoda się poprawiła. Droga do Komańczy zwłaszcza nad Duszatyńskimi jeziorkami została mi w pamięci jako bardzo piękna.

Kraków osiągnęliśmy w dzień po szczęśliwej ewakuacji Jana z Ojcem.

JMP 3 CZERWCA 2012



Widok z Krzemienia na Halicz. fot. T. Dohnalik 1952 r. oraz orientacja ujęcia Jana Ciećkiewicza z 1953

⁸ Wg. Jana Ciećkiewicza wypadek miał miejsce na Połoninie Caryńskiej i dlatego łatwiej mu było sprowadzić ojca do obozu zbieraczy jagód, który znajdował się poniżej Przeł. Wyżniańskiej niż podchodzić z dołu pod przełęcz.



W drodze na Połoninę Wetlińską. 1953 r.
Fot. Zb. Affanasowicz



**Grupa T. Dohnalika w Bieszczadach 1953 r. ↑Widok z Widełek
na Bukowe Berdo. Na szczycie Halicza. ↓ fot. Zb. Affanasowicz**



Materiały zebrał i do druku przygotował Witold Grodzki.

Zdjęcia na okładce: W drodze na Halicz, Legitymacja PTT Jana Ciećkiewicza, Obóz zbieraczy jagód w Berehach Górnych.

Zdjęcia, pocztówki i mapy: Arch. E. i R. Affanasowicz, A. Bartnika, J. Ciećkiewicza, W. Grodzkiego.

Druk: Wydawnictwo Ruthenus, Rafał Barski Krosno, grudzień 2025 r.

Nakład 50 egzemplarzy.